

Risa Pandowska

Na święta przyjedziecie z powrotem

Nasz dom był największy w wiosce. Podczas wojny domowej zabierali małe dzieci, żeby je chronić. Miałam wtedy 9–10 lat. Brat był młodszy ode mnie. Mama powiedziała: zaprowadzę was tam, za górkę, a na święta przyjedziecie z powrotem. Jak nas zaprowadziła, to do dzisiejszego dnia się nie spotkaliśmy.

Przyjechała taka pani z partyzantki, zabrała dzieci, prowadziła nas przez góry, zabłądziła, zaczęli do nas strzelać. Udało nam się to przetrwać. Zatrzymaliśmy się jeszcze w Grecji. Zamarznięte wszystko było, zima, śnieg. Zatrzymaliśmy się w szkole i potem z rana ruszyliśmy w dalszą drogę. Przyjechał jakiś samochód ciężarowy, zabrał nas przez granicę jugosłowiańską. Mówili nam: cicho, bo nas Tito usłyszysz.

Dojechaliśmy do Albanii. Jedzenie było bardzo marne. Dzielili nam kromki chleba, łyżkę cukru na cały dzień. Zupę nam dawali. Z robakami, (śmiech). Dlatego do dzisiejszego dnia, jak mam jeść zupę jakąś jarzynową, to muszę sama zobaczyć, czy tam czegoś nie ma.

Mój starszy brat i dwie siostry brali udział w partyzantce. Ojciec też wyjechał. Mama została sama i ruszyła nas szukać. Znalazła nas. Spotkaliśmy się w Albanii. Dwa dni była z nami. Później odprowadziliśmy ją na statek. Ona płynęła statkiem do Szczecina albo do Gdańska. Później trafiła do Czechosłowacji. Żyła tam długie lata, a ja nic o tym nie wiedziałam.

A ja z bratem... Właśnie – brat był młodszy, jeszcze go nosłam na plecach, on miał jakieś wrzody na nogach i ja go dźwigałam (śmiech). Później w Albanii rozproszyli nas po prywatnych mieszkaniach.

A później zabrali nas samochodami do Rumunii. Tam była jeszcze gorsza bieda. Zaczęliśmy chodzić do szkoły, ale nie wiem, do której klasy byliśmy zapisani, tam brali nas według wzrostu. Tam zaczęliśmy się uczyć po grecku, oczywiście. Na przerwach dawali nam mamałygę... Śpiewaliśmy „Trăiască Republica România!” – „Niech żyje republika Rumunii!”. Spędziliśmy tam niecały rok.

Chodziliśmy do szkoły. Ale później dowiedzieliśmy się, że nas mają stamtąd zabrać. Ale nie

wiedzieliśmy dokąd. I stamtąd właśnie samochodami zawieźli nas do Polski. Samochodami zajechaliśmy do Skopje i stamtąd dopiero, pociągiem, do Polski.

W Polsce przyjechaliśmy do Solic-Zdroju, tak się nazywało wtedy, to pamiętam. Co to była za pora roku...? Nie pamiętam dobrze. Wiem, że nie miałam płaszcza. Chyba wiosna była. W marcu chyba albo w lutym. Mieliśmy kwarantannę. Osobno dziewczęta, osobno chłopcy. Po trzech tygodniach kwarantanny brali nas na badania. Oczywiście, dziewczęta najbardziej się bały tych badań ginekologicznych. Wtedy człowiek nie wiedział, co to znaczy. Ale nas musieli zbadać. Skąd dziecko wtedy mogło wiedzieć, co to jest choroba weneryczna?

Tutaj lepiej rozumiałam niektóre słowa, bo po polsku i po macedońsku: „mama”, „tata”, „nie” – takie same. To już człowiek pomyślał: O, tu my rozumiemy, łatwo będzie się nam uczyć!

Dzielili nas na klasy, znowu – według wzrostu. Bo to człowiek nie pamiętał, ile ma lat.

I tam [w ośrodku Solicach-Zdroju] zaczęłam chodzić do szkoły. Ile tam byliśmy miesięcy? Nawet nie skończyłam czwartej klasy, po zakończeniu kwarantanny zabrali nas i zawieźli do Zgorzelca. Tam były takie koszary wojskowe, w których nas umieścili. Szkolenie wojskowe. Apel, zbiórki i tak to wszystko. Ale już nie narzekaliśmy na jedzenie, tylko tęsknota była za rodzicami. Bo tam niektórzy mieli już rodziców blisko i rodzice odwiedzali ich w niedzielę czy w sobotę. A my tylko chodziliśmy i patrzyliśmy: o, żeby moja mama przyszła, też by coś przyniosła!

Relacja pochodzi z Centrum Dokumentacyjnego Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”. Wysłuchała i opracowała...